POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX | Warszawa, dnia 10 Grudnia 1927 roku | Nr. 50

ANDRZEJ STRUG

13) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Odepchnęła go ciżba pijacka, gwałt, karty. Skrzeczy Puzo, ryczą baraniemi głosami: „Niech żyje nasza serdeczność", chrapią pod stołami, rzygają po wszystkich kątach... Z jakąż rozkoszą napiłby się gorącego barszczu, ale włazić z powrotem między tę tłuszczę... Otrząsnął się. Miał pełną duszę zjaw przepięknych i najszlachetniejszych — nie godziło się poniewierać siebie w takiej chwili. Dobrzy są chłopcy i niemasz nad nich lepszych, uczta była podniosła i serdeczna, ale to, co się tam teraz wyprawia — to już tylko samo czyste świństwo... On musi uszanować swój skarb — skarb nad skarby pomimo wszystko! Świętość...

Ogarnęło go rzewne wzruszenie. Opasał go płomień. Koń kręcił się pod nim znudzony i nagwałt zawracał do domu, rwał się w stronę Taraszkiewicz. Jakże tak? Jakże można?... Boże miłosierny, cóż z tego wyniknie?!

Przemógł się i jeszcze raz zawrócił konia i ruszył z miejsca. Po paru krokach kasztan, czując, co się święci, przystanął i kusił znowu. Niepodobieństwo! Bo cóżby to było...

I poczuł, że usypia słodko ,mocno, jak w długim, nocnym marszu... Zagubił się na chwilę, utonął. Gdy się ocknął, kasztan szedł posuwistym szerokim chodem, naciągając powody i dzwoniąc w zębach mundsztukiem. Próbował stanąć, ale koń wygiął szyję, potrząchał uparcie łbem i rwał dalej. Osadził go, zawrócił i stanął. Nawpół z ciekawością, nawpół ze strachem czekał, co z tego wyniknie.

Szumiało, mąciło się w głowie, niby to prawda i niby to sen... Ogarniał go słodki bezwład, senność. Tylko na chwilę popuścił cugli i kasztan szybko, lekko obrócił się na zadnich nogach i z miejsca uderzył w kłus. Niósł cudownie szerokiemi skokami, parskając raźnie z ochotą, jak koń, który zna swoją drogę i śpieszy do domu, do ciepłej stajni.

* * *

Puzo wszczął epicką opowieść — wiecznie tę samą, ale z nowemi ozdobami — o „znamienitym nabiegu" dzikiej („inorodczeskiej") konnej dywizji na Czerniowce.

Siedział na stole, ciążąc ogromną swoją masą nad honorowym gościem, nikłym kulturalnym sztabowcem, bryzgał mu śliną prosto w oczy i gnębił go, odurzał potęgą głosu, grzmotami pijackiego śmiechu i waleniem pięścią w stół.

Opowiadał właściwie dla niego jednego, odwrócony tyłem do izby, gdzie za stołem tkwiło jeszcze trochę wyjątkowo uporczywych pijusów, ale bas jego grzmiał po całej chacie, głusząc swary karciarzy, pijackie porywy i bełkotanie rozmów, oraz niemrawe, z gruntu fałszywe wysiłki kwartetu, który spleciony jednym uściskiem, wbity w kąt, wył głucho, po dziadowsku, rozpoczynając oddawna i beznadziejnie „Za Niemen het precz"...

Sztabowiec cierpiał, ale zalany, obezwładniony wódką, przycupnął bezradnie zdręczony i spotniały, niczem pod obstrzałem ciężkiej artylerji.

— Zajechał ja przed tę karczmę z jednym wachmistrzem i jeszcze taki nie to chorunżij, nie to kornecik przy sotni u mnie był, polak z rodu też, razpropojca i zabijaka, nazwiskiem Smykiewicz. Ten sam, partyzant, co o nim tyle było u nas gadania. Nu, zatrzymał ja konia pod oknem i „kozyriaju" kłaniam się grzecznie... We wszystkich oknach głowy — gęby czerwone, znać że wypiwszy — obiad oficerski. A ja im nadążył ku deseru! Ha - ha - ha!... Oczy wybałuszone, rozmiarów, powiedzmy, pięciu koron srebrem... Ordynansy odrazu zrozumieli, bo w mig się rozbiegli, konie łażą luzem, i niezłe były konie, tylko zapasione, sztabne.... A tu z jednego okna do mnie tak kroków na pięć dwa strzały — bac - bac! Ja się śmieję, pod boki się biorę! No i cisza, cicho, jak makiem siał... Wychodzi wreszcie, staje we drzwiach taki gruby, golony, po kołnierzu patrzę — major.... Zmarszczony, groźny, a boi się... Chce zagadać, ale pyski mu się trzęsą — nie może.. . Tedy ja ich wytrzymuję, przespokojnie zapalam sobie papierosa, pociągnę raz, wytrzymam jeszcze i dopieroż do wachmistrza — Podawaj, Frołow! Jak nie świśnie!... . Sławnie on u mnie w uszy wiercił i to na palcach bez żadnego gwizdka, niczem sołowiej - razbojnik... Zawyło, zagałdieło za sadem, jakby się wilków odezwała cała hurma — ruszyli, idą moi — ziemia drży.. . Już są! Nawaliła się sotnia z trzaskiem i wrzaskiem, z naszem gikanjem, jakiego jeszcze nie zaznały te austrjackie uszy . Stoj! Jak tylko opadł kurz, jak zobaczą oni moich inguszów w papachach, w burkach, wszystko dzikie, kosmate, mordy zwierzęce, czarne, zakazane, tylko te ślepia a zęby im łyskają, a w zębach kindżały... Ho... ho... ho!... No, teraz z karczmy won — wychodź jeden z drugim — marsz! Żaden nie ruszył — boją się. Tedy ja z konia i do nich sam. Wchodzę, patrzę, izba ogromna, pełna oficerów... Wziął się ja — ot tak — pod boki i czekam. Niedługo ja czekał — generał najszanowniejszy, taki siwy, w orderach— bach na kolana przedemną a za nim wszyscy, jak po komendzie — cała izba! I co się okazało? Sztab kor-

pusu by! Tu jeszcze, trzeba dodać, mój Smykiewicz ot jaką sztukę wyrzucił...

— Panie pułkowniku, a ten Smykiewicz zginął— przerwał mu, ocknąwszy się na tę porę, gość z Dołżyna, major od piechoty, który od godziny już spał sobie spokojnie, wsparty głową na stole. Obudziło go potworne walenie pięścią w stół, którem Puzo podkreślał zabranie do niewoli sztabu korpusu.

— Jakże zginął? Przed tygodniem miałem od niego list... Gdzie on panu miał zginąć, kiedy od miesiąca wszystko utknęło?... Głupstwo — taki nie zginie, takiego się kula nie ima. Inna rzecz, jeżeli względem kryminału. Na to zarobił sprawiedliwie.. . Pisze on mnie — ratuj, pułkowniku, po starej pamięci, zadekuj ty mnie koło siebie, ojcze rodzony, bo zginę marnie przez to parszywe zawieszenie broni. Racja, teraz dopiero zabiorą się do niego, będzie mu ciepło...

— Nic mu nie będzie, z ziemi go nie wykopią. Nie żyje pański Smykiewicz i już.

— Taki on mój, jak i pana majora. A skąd panu majoru przyszło, że z nim koniec? Plotki, a najprędzej sam szelmiec rozpuścił o sobie przez swoich ochotników — ot, nurknąć między ludzi i końce we wodę, żeby go kanarki nie szukały. Zobaczysz pan, za rok albo i za dwa wyda się, że żyje zdrów w jakiej dziurze i służy komendantem policji albo i starostą. Ja jego znam — to jest szelma! Ha - ha - ha!...

— Nie będzie starostą, panie pułkowniku. Przed dziesięciu dniami na odcinku Uhwa - Koniuchy natknął się o zmroku w lesie na nasz patrol i dostał postrzał w brzuch. Ostrzelali ich nasi, bo szli w bolszewickiem przebraniu. Kto mógł wiedzieć? Tam też i skończył Smykiewicz. Z jego ludzi większa część zawróciła i uciekła, pięciu zostało na miejscu, a siedemnastu wzięliśmy i trzymamy w pace — zbój w zbója. Dostał nam się i jego wachmistrz — prawa ręka...

— Cygan? Cygan dał się wziąć?!

— Konia pod nim ustrzelili, a i tak jechał ranny, nieopatrzony od samego Skwirska. Wyrżnęli posterunek sowiecki, komisarzy, zabrali kasę...

— W Skwirsku byli?! W samym - że Skwirsku? Ot zuchy - mołodcy! Byłby ja Piłsudski, jaby takiemu wszystko darował, jeszcze wynagrodził... Ot szelmy! To był rejd — po naszemu, zaraz poznać, że z dobrej dywizji!

— Nie lepiejby zrobił sam Kmicic!

— Kto taki?

— Kmicic, panie pułkowniku!

—To z jakiego będzie pułku?

Wśród hucznego śmiechu rzucił któryś:

— Panie pułkowniku, to z „Potopu".

— Z Konotopu? — nie dosłyszał Puzo. Zdumiony, obrażony wrzaskliwym szałem, który wybuchł w grupie oficerów, zsunął się ze stołu i natarł brzuchem na pierwszego z brzegu małego podporucznika lotnika.

— Jak pan śmiesz w żywe oczy mnie, pułkowniku?!.... Co za nachalstwo?!

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że ten Kmicic dawno nie żyje, bo to z powieści Sienkiewicza.

— Z powieści? Dużo ich tych waszych powieści, nie w powieściach rzecz. Napisać łatwo, a poprobuj taki pisarz, pójdź on na Skwirsk w pięćdziesiąt koni, zrób on podobnie Smykiewiczu....

— Tak jest, panie pułkowniku, co Smykiewicz to nie Sienkiewicz.

— Dobrze powiedziane, panie podporuczniku, po żołniersku!

— Sam Smykiewicz to powieść, jakiejby nikt nie wymyślił. No i zakończenie zupełnie powieściowe, bo i co on miał ze sobą robić? Koniec i kropka w samą porę.

— Niech spoczywa w spokoju, dużo on nabroił, A tak czy owak bohater był, ten bolszewikom sadła za skórę zalał, popamiętają oni psubraty...

— Popamiętają go i inni. Jedna pani, polka, dziedziczka, z pod Włodzimierza Wołyńskiego, aż do Warszawy jeździła ze skargą — pięć razy ją Smykiewiczowscy rabowali....

— Nu i rabowali! Z czego na tę porę mieli żyć, kiedy żadnego im zaopatrzenia nie wychodziło, a tylko żandarmi za nimi ganiali, jak te psy?

— Z kanarkami on też potrafił żyć. Ha - ha - ha.... Dopadli go, panie pułkowniku, w Dobropolu i wachmistrz jemu papier pokazuje, nakaz aresztowania — też się wybrał... . Stary żandarm austrjacki i pięciu ludzi ze sobą miał, konno jak się patrzy i w hełmach... Ha, ha, ha!...

— No i co?

— Cóż — widzi Smykiewicz, że sprawa ciężka, westchnął sobie i zadumał się w smutku, miał on nad czem pomyśleć. A tymczasem jego Cygan zarządza zbiórkę — wali cała gromada. Żandarmy, zobaczywscy zbliska, co to za draby, dali spokój i chyłkiem — do koni. No — nie! Wychodzi Smykiewicz smutny, zamyślony i powiada — tak i tak — żegnajcie chłopcy, jestem aresztowany. Krzyk — gwałt — na gałęź z żandarmami! Nie damy pana rotmistrza — rotmistrzem on wtedy był, oczywiście z własnej nominacji, póki się sam nie zweryfikował później na majora.

— Onby się był poddał, odsiedziałby swoje parę lat, odtrąconoby mu za męstwo, adwokaci by go wykręcili na warjata i tak dalej, ale banda go od siebie nie puszczała, co by oni poczęli bez szefa? Wyłapanoby ich co do jednego.

— Jeszcze przed paru miesiącami mogli sobie byli przejść do bolszewików, ale chcąc się odbić na opinji, nabroili za ten czas tyle, że nie mieli po co pokazywać się u czerwonych.

— No i co dalej?

— Żandarmom rura zmiękła, przepraszają, błagają, żeby ich puścić wolno. No i poszli z Bogiem do domu — ha - ha - ha!...

— Piechotą ich puścili, a konie zabrali?

— Zabrali hełmy, buty, portki... I koszule i gacie.... Wypuścili ich w drogę gołych, jak ich matka urodziła....

— No!...

— Ha - ha - ha!...

— Poczekajcie panowie... Ustawili ich gęsiego jednego za drugim, wachmistrz na czele... Powiązali ich za szyje ich własnemi żółtemi sznurami, a na przedzie orkiestra żydowska, zdychając ze strachu, rżnie wesołe kawałki...

— Cudowne...

— Nie, to fantazja, już za to samo jedno...

— Poczekajcież panowie, do djabła, dajcie skończyć! Było ich razem z wachmistrzem sześciu chłopa — każdy na odchodnem dostał do rąk klatkę...

— Klatkę?

— Co za klatkę?!

— A w każdej klatce — kanarek, albo i dwa.... Muzyka rżnie — kolumna naprzód marsz!

— Ho - ho - ho!....

— Ahahaha!.... Ahahaha!....

— Skądże, u djabła, nabrał tych kanarków?

— Rozesłał ludzi po miasteczku, u żydów zarekwirował...

— Morowo!

— Ho - ho - ho!...

(D. c. n.).

4)

WSPÓLNIK

George zamiast go wyprawić do wszystkich diabłów, stracił głowę. „Nie znam pana. Czego pan chce odemnie?" zawołał i wbiegł na górę do Cloete'a. „Widzisz, na co nas naraziłeś", wyrzekł zadyszany. „Jesteśmy teraz na łasce tego nicponia". Cloete usiłował wytłumaczyć mu, że nic im Stafford nie zrobi, ale George, obawiając się skandalu, zaczął zaklinać się, iż nie może żyć pod takim ciągłym strachem. Cloete byłby go poprostu wyśmiał, gdyby go już to wszystko nie było znudziło. Nagle, pod wpływem niespodziewanej myśli, zmienił ton: „Zresztą, to niemożliwe. Zejdę na dół i odprawię go". Powróciwszy po chwili, rzekł: „Poszedł sobie. Może masz i rację, Stafford jest w ciężkiem położeniu, a taki człowiek gotów jest popełnić jakiś czyn rozpaczliwy. Najlepiej byłoby go wyprawić na pewien czas z kraju. Biedak ten rzeczywiście potrzebuje gwałtownie posady. Tym razem niewiele wymagam od ciebie: tylko, abyś trzymał język za zębami, a ja sprobuję namówić twego brata, aby go przyjął na posadę pierwszego oficera". Usłyszawszy to, George ukrył twarz w dłoniach i oparł ją na biurku; Cloete'owi żal się go zrobiło. Jednocześnie czuł się zadowolony, bo dodał ducha Stafford'owi. Tego samego dnia popołudniu kupił mu granatowe ubranie, mówiąc mu, że musi się zabrać do roboty, aby zarobić na życie; najlepiej zrobi, wstępując jako pierwszy oficer na Sagamore'a. Nicpoń niebardzo miał na to ochotę, lecz nie mając co jeść i gdzie spać, wystraszony groźbami wdowy, że zadenuncjuje go policji, nie miał wyboru . Cloete zajmował się nim przez dwa dni. „Układ nasz zobowiązuje nas w dalszym ciągu. Statek popłynie teraz do Port Elisabeth—nie jest to bynajmniej bezpieczna przystań. Gdyby przypadkiem statek podczas północnowschodniego wiatru zerwał się z kotwicy i rozbił się na brzegu, jak to się często zdarza, będzie pan miał pięćset funtów w kieszeni i wróci pan natychmiast do domu. Zgadza się pan?"

Nasz Stafford wysłuchał tego ze spuszczonemi oczami. — Jestem doświadczonym marynarzem, — rzekł swym nieśmiałym, skromnym głosem. — Pierwszy oficer ma ciągle do czynienia z łańcuchami i kotwicą. — Na to Cloete grzmotnął go w plecy: „Mój zacny marynarzu, idź więc i działaj".

Wkrótce potem George dowiedział się od brata, że ten wyświadczył pewną przysługę jego wspólnikowi. Bardzo był z tego zadowolony, gdyż niesłychanie go polubił. Otóż Harry przyjął na statek jednego z przyjaciół Cloete'a na stanowisko pierwszego oficera. Człowiekowi temu nie wiodło się: przez rok blisko musiał pozostawać na lądzie dla pielęgnowania umierającej żony. Podupadł bardzo. George oświadczył z żywością, że osobnik ten nie jest mu wcale znany. Widział go raz tylko. Powierzchowności nie ma zachwycającej. Na to kapitan Harry odparł, jak zwykle, poczciwie: „Tak, istotnie, ale trzeba przecież biedakowi dopomóc".

Stafford udał się na statek, będący w doku. Zdaje się, że z myślą o Port Elisabeth udało mu się coś zmajstrować przy jednej z lin. Robotnicy zajęci przy olinowaniu statku wydobyli wszystkie liny na pokład dla oczyszczenia komory łańcuchowej. Nowy oficer, upewniwszy się, że poszli na obiad na brzeg, wysłał dozorcę ze statku po butelkę piwa. Wówczas zabrał się do usunięcia nitu w jednem z ogniw, uderzył parę razy młotkiem i lina przestała być pewną. Robotnicy powrócili do olinowania, ale wiadomo, jak pracują: byleby dnie schodziły, a Pan Bóg prędzej zesłał niedzielę. Linę spuszczono do komory łańcuchowej, a dozorca nie spojrzał nawet na ogniwa . Co go to może obchodzić! Nie popłynie przecież sam na tym statku. W dwa dni później Sagamore był już na morzu.

Byłem na tyle nieostrożny, że w tem miejscu wyrwało mi się znów: — Rozumiem! — Mój kompan obraził się i szorstko odburknął tak, jak za poprzednim razem: — „Nie, nic pan nie rozumie! — Lecz podczas tej przerwy przypomniał sobie o piwie, które stało tuż koło jego łokcia. Wypił połowę szklanki, obtarł wąsy i zauważył opryskliwie:

— Niech pan nie wyobraża sobie, że w tem opowiadaniu będą sceny z życia morskiego, nic podobnego. Jeśli pan chce sam coś dodać, należałoby to teraz pomieścić. Przypuszczam, że pan ma pojęcie, jak wygląda dziesięć dni niepogody na kanale La Manche. Bo ja nie wyobrażam sobie tego zupełnie. W każdym razie dziesięć dni upłynęło. Pewnego poniedziałku Cloete, spóźniwszy się trochę do biura, usłyszał w pokoju George'a głos kobiecy. Zajrzawszy tam, zobaczył biurko i podłogę, zarzuconą gazetami, na krześle siedziała żona kapitana Harry'ega z zaczerwienionemi oczami, torba podróżna stała obok niej. „Spójrz", rzekł do niego George, ogromnie zdenerwowany, pokazując mu gazetę. Serce Cloete'a zabiło żywiej. Ha! Rozbicie statku w zatoce Westport'u. Sagamore rozbił się w niedzielę o wczesnej porze, tak, że dziennikarze mieli czas upiększyć opis. Zapełnili nim całe kolumny. Łodzie ratunkowe wyjeżdżały dwukrotnie. Kapitan i załoga pozostali na statku. Wezwano na pomoc holowniki. Jeśli pogoda będzie sprzyjać, jest nadzieja uratowania tego pięknego, ogólnie znanego statku. Pan wie, jak to gazety potrafią opisać. Żona kapitana wstąpiła tu na chwilę w drodze na stację. Miała jeszcze przed sobą godzinę czasu.

Cloete odprowadził George'a na stronę: „Tam, do djabła, statek znów uratowany. Nie należy do tego dopuścić". George spojrzał na niego zaskoczony; żona kapitana wciąż szlochała zcicha: „Powinnam była z nim pojechać. Teraz muszę czemprędzej dostać się do niego". „Pojedziemy wszyscy razem", zawołał nagle Cloete. Wybiegł pośpiesznie, aby kapitanowej przysłać filiżankę gorącego buljonu ze sklepu naprzeciwko, kupił dla niej koc, pomyślał o wszystkiem; w pociągu otulał ją i całą drogę zabawiał rozmową o tem i o owem, niby to dla podtrzymania w niej ducha ; rzeczywiście nie posiadał się z radości. Wypadkiem stało się to, czego pragnął; nic nie będą potrzebowali zapłacić. Stało się, naprawdę się stało. W głowie mu się kręciło, gdy o tem pomyślał. Co za szczęście! Oszałamiające! Miał ochotę skakać i śpiewać z radości. George Dunbar tymczasem siedział w kącie z tak nieszczęśliwą twarzą, że, aż wreszcie kapitanowa zaczęła mu dodawać otuchy i, opowiadając, jak Harry jest

ostrożny, sama się pocieszyła; tłumaczyła mu, że kapitan nie narazi na niepotrzebne niebezpieczeństwo ani siebie, ani załogi i wiele tym podobnych rzeczy.

Jak tylko przyjechal do Westport, dowiedzieli się na stacji, że łódź ratunkowa jeszcze raz dopłynęła do statku; przywiozła porucznika, który był ranny i paru marynarzy. Kapitan z resztą załogi, razem około piętnastu ludzi, pozostał na statku. Holowniki oczekiwane są lada moment.

Zawieźli żonę kapitana do zajazdu, znajdującego się prawie naprzeciw skał; pobiegła wprost na górę, aby spojrzeć przez okno i głośno krzyknęła, ujrzawszy rozbity okręt. Zaczęła tłumaczyć, że nie będzie spokojna, dopóki nie dostanie się na statek, do męża. Cloete starał się ją uspokoić, jak mógł. „Doskonale, niech pani przekąsi cokolwiek i pójdziemy się czegoś dowiedzieć.

Wyprowadził George'a z pokoju. „Posłuchaj! Ona nie może popłynąć na statek, ale ja tam pojadę. Dopilnuję, aby kapitan nie pozostał na okręcie zbyt długo. Chodźmy poszukać retmana łodzi ratunkowej". George wyszedł z Cloete'm. Od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Fale zalewały dawne molo; wiatr nie był silny, ponad przystanią zawisło dzikie, ponure niebo. Na całym widnokręgu widoczny był tylko holownik, kierujący się na morze, podrzucany co chwila wgórę i nadół z regularnością wahadła.

Odnaleźli retmana, który mu rzekł: „Tak, wyruszamy znów na morze. Na statku nie grozi im jeszcze niebezpieczeństwo. Ale słaba jest nadzieja wyratowania go. Jednak o ile wiatr się nie wzmoże, a fala się zmniejszy, spróbujemy go ratować". Po krótkiej rozmowie zgodził się zabrać ze sobą Cloete'a pod pretekstem, że ten musi zakomunikować kapitanowi ważną wiadomość od właścicieli statku.

Otucha wstępowała w serce Cloete'a, ile razy spoglądał na niebo, takie było groźne. George Dunbar szedł za nim, blady i milczący. Cloete namówił go na jeden i drugi kieliszek, a od czasu do czasu rzucał mu słówko pociechy. „Teraz jest ci lepiej", mówił mu. „Niech mnie djabli porwą, jeśli przedtem nie miałem wrażenia, że idę z nieboszczykiem. Powinieneś, mój stary, krzyczeć z radości. Ja mam chwilami ochotę tańczyć z uciechy po ulicy. Statek się rozbił, twój brat ocalał, a my jesteśmy bogaci!"

„Czy tylko jesteś pewien, że statek przepadł na dobre?", zapytał George. „Bo to byłoby dla mnie okropne, gdybym miał znów przechodzić przez tę straszne moralne udręki, które przeżyłem od chwili, gdy zacząłeś mnie na to namawiać, a gdyby statek ocalał, znów by mnie kusiło... My przecież do tego rozbicia nie przyczyniliśmy się w niczem?"

„Naturalnie, że nie", odparł Cloete. „Twój brat sam dowodził statkiem. To było opatrznościowe...." „Och!" oburzył się George. „Możesz nawet dowieść, że to djabeł temu winien", zawołał wesoło Cloete. „Mnie tam wszystko jedno! A ty w tej sprawie jesteś niewinny, jak nowonarodzone dziecię, ty głuptasie!" Cloete poczuł prawie miłość do George'a Dunbar'a. Tak, tak. Nie znaczy to, aby go szanował, lecz miał słabość do swego wspólnika.

Wrócili do hotelu, podskakując prawie z radości i zastali żonę kapitana w otwartem oknie, z oczami wlepionemi w statek, jak gdyby chciała przefrunąć ponad zatoką. „Pani nie może popłynąć na statek" — zawołał Cloete, „ale ja tam pojadę. Czy pani nie ma jakich poleceń? Niech pani się nie wstydzi, wszystko powtórzę wiernie mężowi. A jeśli pani chce mi dać dla niego buziaka, niech mnie pioruny, jeśli mu go nie oddam!"

Gadaniem swojem pobudził kapitanową do śmiechu. „Drogi panie Cloete, pan jest roztropny i spokojny. Niech pan wpłynie na niego, aby zachowywał się rozsądnie. Pan wie, że on jest trochę uparty i taki przywiązany do statku! Niech pan mu powie, że ja tu jestem i patrzę na niego". „Może pani liczyć na mnie . Niech pani tylko zamknie okno i będzie grzeczna. Napewno pani się zaziębi, albo może pani się już zaziębiła; kapitan nie będzie zadowolony, jeśli ocalawszy z rozbitego okrętu, zastanie panią taką kaszlącą i kichającą, że nie będzie pani w stanie mu powiedzieć, jak się pani cieszy z jego powrotu. A teraz poproszę panią o kawałek tasiemki dla przywiązania moich binokli do uszu i zaraz wyruszam".

Nie wiem, jak się odbywa przeprawa na statek. Cloete zjawił się tam mokry, zdenerwowany, podniecony. Statek leżał na boku, zbryzgany pianą, poruszając się tylko tyle, ile potrzeba dla podniecania nerwów. Cloete zastał całą załogę, skupioną na przednim kasztelu w lśniących, ceratowych kaftanach, z twarzami ciężko chorych ludzi. Kapitan Harry nie wierzył własnym oczom: „Co ja widzę? pan tu, panie Cloete? Na miłość Boską, co pan tu robi?" „Pańska żona jest tam, na brzegu, patrzy na pana", dyszał Cloete; po chwili rozmowy kapitan Harry doszedł do przekonania, że ze strony wspólnika brata ten przyjazd brata to dowód wielkiej odwagi i dobroci. Wdodatku ucieszył się, że może z kimś porozmawiać. „Żle z nami, panie Cloete", mówił ku wielkiej radości Cloete'a. Kapitanowi zdawało się, że zrobił, co mógł, ale lina zerwała się, gdy chciał zakotwicować statek. Ciężko stracić statek, ale usiłował to znieść mężnie. Wzdychał tylko chwilami. Cloete żałował prawie, że przyjechał, gdyż widok tonącego statku legł mu ciężarem na piersiach. Ukryli się przed wiatrem pod lewostronną łodzią, w pewnej odległości od załogi. Łódź ratunkowa odpłynęła z powrotem, pozostawiwszy Cloete'a na statku, ale z przypływem miała powrócić po załogę, jeśliby się nie udało puścić statku na wodę. Zmierzch zapadał; krótki dzień zimowy; niebo ciemne; wiatr. Kapitan był bardzo melancholijny: „Niech się dzieje wola Boża. Jeśli już tak ma być, to niech statek pozostanie na skałach. Człowiek musi się odważnie poddawać wyrokom Najwyższego". Nagle głos mu się załamał i, ścisnąwszy ramię Cloete'a, szepnął: „Zdaje mi się, że nie zdołam nigdy porzucić mego statku'. Cloete spojrzał na marynarzy zbitych w stado, jak wystraszone owce i pomyślał: „Nie zechcą pozostać". Nagle statek wzniósł się nieco i opadł z silnem wstrząśnieniem. To przypływ. Wszyscy zaczęli wyglądać, czy nie dojrzą łodzi ratunkowej. Niektórzy zobaczyli już ją i dwa holowniki. Lecz burza znów się wzmogła, a cała załoga wiedziała, że żaden holownik nie odważy się teraz zbliżyć do statku.

„To koniec", rzekł z cicha kapitan, a Cloete pomyślał, że nigdy jeszcze w życiu nie było mu tak zimno. „Życie stało mi się obojętne", szeptał dalej kapitan. „Żona pana jest na brzegu, patrzy w tę stronę". „Tak, to musi być dla niej okropny widok patrzeć na ten nasz stary, biedny statek, leżący na boku. To był nasz dom".

(D. c. n.).